

Społeczeństwo wiedzy i jego robotnicy

Idea społeczeństwa wiedzy zyskuje dość szeroką akceptację środowisk akademickich: jest dla nich swoiście nobilitująca, oznacza społeczne uznanie ich rangi. Ta akceptacja znieczula nas jednak na szereg kontrowersji związanych z tą ideologią. Związane są one z *kapitalistycznym* charakterem społeczeństwa wiedzy. Wiedza jest towarem, co oznacza konieczność jej parcelacji i prywatyzacji i tym samym podważa podstawy publicznej edukacji – szczególnie akademickiej, która tradycyjnie zakładała konieczność kształcenia w oparciu o swobodę dostępu studentów do procesu i aktualnych wyników badań. Ideologia ta uzasadnia szereg wykluczeń dotyczących dostępu do wiedzy osób, które przygotowywane są do pracy przy jej wytwarzaniu – nie posiadając dostępu do wiedzy mającej wartość kapitału (patenty, prawa autorskie, badania na zlecenie korporacji), kształceni są w umiejętnościach koniecznych do jej produkowania. Jest to sytuacja analogiczna do opisywanej przez Marksa w jego analizach genezy kapitalizmu przemysłowego.

Rozwój kapitalizmu opisywany jest na podstawie zachodzących w Anglii procesów parcelacji (prywatyzacji z prawem do gromadzenia) gminnej własności ziemi (*commons*). Prowadzi to z jednej strony do koncentracji własności, co sprzyja powstawaniu nadwyżki środków finansowych, która może być przeznaczona na inwestycje; z drugiej – do masowych wysiedleń chłopów dotychczas na tych ziemiach gospodarujących. Powstaje klasa ludzi, którzy nie mają nic oprócz rąk do pracy – nie są w stanie przeżyć, jeśli nie zatrudnią się w pracy najemnej. Ta ludzka „nadwyżka” jest zagospodarowywana przez rozwijający się przemysł.

Przenosząc tę skrótowo tu przedstawioną rekonstrukcję na obszar społeczeństwa wiedzy, możemy określić warunki powstawania tej formy społeczeństwa, opartej na kapitalistycznej gospodarce wiedzy, jako następujące: **Warunkiem głównym powstania kapitalizmu wiedzy jest prywatyzacja wiedzy dokonująca się na zasadzie parcelacji znaczącej części „knowledge commons” (publicznej domeny wiedzy, jej wspólnotowej własności) oraz wytwarzania procedur, które uniemożliwiają ulokowanie wiedzy nowo powstającej, a mającej walor zyskotwórczy, w tej domenie. Warunkiem uzupełniającym, ale równie koniecznym, jest wytworzenie klasy ludzi, którzy wiedzy „nie posiadają”, potrafią natomiast ją produkować i zmuszeni są podejmować zatrudnienie w sektorze jej produkcji.**

Przeniesienie genealogii kapitalizmu dokonanej przez Marksa na analizę procesów zachodzących we współczesnej polityce naukowej i edukacyjnej¹ pozwala połączyć fenomeny zwykle traktowane jako odległe – takie jak gwałtowny rozrost programów kształcenia akademickiego, ich reorientacja na kształcenie umiejętności samodzielnego wytwarzania wiedzy, presja na patentowanie wiedzy i jej praktyczne aplikacje, wzrastająca rola biznesu w finansowaniu badań, parametryzacja jednostek naukowych i indywidualnego dorobku pracowników akademickich, wreszcie „panika plagiatowa” prowadząca – w imię ochrony *własności* intelektualnej – do eliminacji myślenia o wiedzy w kategoriach własności wspólnej. Traktowanie wiedzy w kategoriach kapitału oznacza, że *inwestycja* w wiedzę musi być kierowana racjonalnością ekonomiczną: musi przynieść określony zysk. Z tego z kolei wynika konieczność wprowadzenia do obiegu społecznego swoistej „monety edukacyjnej”, sparametryzowanej miary wartości pozwalającej na szacowanie nakładów i przychodów oraz porównywanie wartości poszczególnych instytucji i osób (tu w oczywisty sposób sprowadzanych do roli towaru).

Robotnicy wiedzy

Termin *knowledge workers* pojawia się w literaturze w dwóch znaczeniach. Pierwsze znajdujemy w tekstach ekonomicznych, socjologicznych i pedagogicznych traktujących *knowledge economy* jako wyzwanie dla systemu kształcenia. W skrócie, *knowledge economy* potrzebuje **knowledge workers**, a to oznacza robotników znacznie lepiej wykształconych niż dawniej, przede wszystkim wyposażonych w umiejętności pracy z informacjami, które dawniej kształcono wyłącznie na poziomie akademickim. Drugie ujęcie pojawia się w tekstach mówiących o kondycji akademii i odnosi się do deprofesjonalizacji pracy naukowej. Wprzęgnięta w reżym ekonomiczny, staje się ona silnie kontrolowaną przez sztywne procedury, sterowaną przez motywację zewnętrzną „robotą”, a jej wykonawcy to nie dawna profesura, co po prostu **knowledge workers**.²

¹ Por. np.: Slaughter S., Leslie L.L. (1997). *Academic Capitalism. Politics, Policies, and the Entrepreneurial University*, Baltimore and London: The Johns Hopkins University Press; Philips, D. (2005), Economics as ideological fantasy. Dispensability of man by way of changing the nature of ideas. *International Journal of Applied Semiotics* Vol. 4, No.2., pp.9-34.

² Scott, P.: From professor to 'knowledge worker': profiles of the academic profession. *Minerva* 45, 2007, ss.205-215.; Kleinman D.L., Vallas S.P., Science, capitalism, and the rise of the 'knowledge worker': The changing structure of knowledge production in the United States. *Theory and Society* 30, 2001, ss.451-492.

Badanie, którego fragmenty cytuję poniżej, miało charakter incydentalny i powstało przy okazji przygotowywania przeze mnie tekstu do publikacji dotyczącej „bycia doktorantem” we współczesnym uniwersytecie³. Główne pytanie zadane uczestnikom badania (doktorantom nauk społecznych) brzmiało: co się dzieje z wiedzą w trakcie studiów doktoranckich? Wywiad był prowadzony przy pomocy platformy e-learningowej. Wszyscy uczestnicy mieli możliwość czytania odpowiedzi pozostałych osób i podejmowali z nimi dyskusję, w związku z czym metodologię tego incydentalnego badania można określić jako zogniskowany wywiad grupowy (*focus group interview*). Z licznych wątków wybieram tu tylko kilka wypowiedzi ilustrujących myślenie doktorantów o relacji wiedza / umiejętności, o sferach wykluczenia z wiedzy (a także *przez* wiedzę) oraz – w tym kontekście – o strukturze dostępu do wiedzy w uniwersytecie.

Zacznę od kwestii *umiejętności*.

O ile studia magisterskie łączyłam z możliwością rozwoju **umiejętności** zdobywania wiedzy i operowania nią, o tyle studia doktoranckie kojarzyły mi się z **perspektywą badawczą**. Tymczasem praktyka badawcza funkcjonuje tu jedynie jako element zastępczy względem praktyki dydaktycznej i głównie w **charakterze usługowym** (transkrypcje itd.)

Studiowanie na poziomie doktoranckim oznacza tu zdobycie *umiejętności* prowadzenia badań. Inny uczestnik badania, również akcentujący konieczność zdobywania umiejętności pracy badawczej, pisał w tym kontekście: „pozвольcie nam po prostu robić tę robotę, to się jej nauczymy”. Kolejna wypowiedź wprost dotyka kwestii wiedzy:

Nie przyszłam tu też po jakąś konkretną wiedzę, bo potrafię korzystać z biblioteki, internetu, oglądam wykłady on-line – wtedy, kiedy chcę i jakie chcę. To nie znaczy, że w ogóle nie chcę chodzić na zajęcia – uważam, że ważne jest, żebyśmy spotykali się i dyskutowali, a nie siedzieli samotnie nad swoimi projektami/monitorami, po prostu nie odpowiada mi forma wykładowa i pisanie zaliczeń.

To wyraźny głos na rzecz aktywnego i samodzielnego uczenia się, czemu przeciwstawiana jest wykładowa forma zajęć kończących się zaliczeniami. Zorganizowane zajęcia nie są traktowane jako forma przekazywania *wiedzy aktualnie tworzonej*, jeszcze niepublikowanej, będącej w trakcie badań. „Biblioteka, internet i wykłady on-line” nie są miejscami, w których można zaznajomić się z aktualnie realizowanymi w konkretnej jednostce projektami, z niegotowymi i będącymi w procesie konstruowania teoriami etc. Być może taka tematyka wykładów zniknęła z głównego nurtu praktyki dydaktycznej w uniwersytecie, być może masowy charakter studiów doktoranckich, w połączeniu z odstępianiem od wymagania legitymowania się dyplomem kierunku zgodnego z profilem studiów, spowodował przesunięcie akcentów w stronę wykładu *podstaw* dyscyplin naukowych, w ramach których ma nastąpić otwarcie przewodu.

Kolejny wątek: studia doktoranckie zdają się prowadzić do *podwójnego wykluczenia*:

Wykluczenie przez doktorat? Pewnie tak, tyle, że z nami to pewnie **nikt** nie będzie chciał gadać. Bo z grona normalnych (...) ludzi zostaniemy wykluczeni przez doktorat a do grona elity uniwersyteckiej nie zostaniemy wpuszczeni ze względu na niską aktywność naukową (konferencje, kosztowne publikacje, zwykły brak czasu na naukę)

Wizja *podwójnego wykluczenia*, pojawia się w kilku wypowiedziach. Z jednej strony uzyskanie stopnia doktora *zmniejsza* szanse na zatrudnienie poza systemem akademickim, z drugiej strony mamy wizję wykluczenia z „elity uniwersyteckiej” – w powyższym fragmencie owo wykluczenie wiąże się z niemożnością sprostania jakimś merytorycznym standardom warunkującym akceptację w tym środowisku. Pełniejsza wizja tego problemu przedstawiana jest w kolejnej (i ostatniej z tu cytowanych) wypowiedzi:

Cały czas kręcimy się wokół systemu, w którym z jednej strony jesteśmy potrzebni, bo generujemy zyski, z drugiej - sam **system uniemożliwia nam wejście do środka**. Jest nas dużo, nie ma dla nas pieniędzy, musimy sami na siebie zarabiać (...), więc nie możemy w pełni zająć się nauką, tym samym nie jesteśmy wystarczająco dobrzy. Kółko się zamyka. Masowość tych studiów tylko napędzać będzie maszynę. Uniwersytet natomiast, jako instytucja czy jak tu ktoś napisał wspólnota, stawać się będzie **coraz bardziej zamknięty**, dużo bardziej niż wtedy, gdy doktoraty robiły jednostki przygotowywane do pracy naukowej. To jest szerszy problem związany z urynkowaniem uniwersytetów: **z jednej strony uproszczona nauka dla mas, z drugiej hermetyczna, "prawdziwa" nauka**.

³ Szkudlarek T., Knowledge workers, inner university and liminality. [w]: Thomson P., Walker M. (eds.), *The Routledge doctoral students' companion. Getting to grips with research in education and the social sciences*. London: Routledge, 2010..

Jeśli na podstawie tych kilku fragmentów można próbować dokonać jakiegoś podsumowania, to mamy tu czynienia z wizją osób dążących do zdobycia *umiejętności pracy naukowej*. Osoby te doświadczają przy tym syndromu „przeedukowania”, nadmiernego krytycyzmu i „niepotrzebnego komplikowania” procedur codziennej praktyki zawodowej. Jednocześnie wyraźnie pojawia się tu wizja braku szans na włączenie do hermetycznego świata „prawdziwej nauki”, który chyba można rozumieć przede wszystkim jako świat nauki „etatowej”, związanej ze stałym i w miarę bezpiecznym socjalnie *zatrudnieniem* w strukturze uniwersytetu. Prawdopodobnie osoby reprezentujące tak skompilowaną orientację będą wciąż „kręcić się wokół systemu” jako *wykwalifikowani robotnicy* potrafiący realizować zadania badawcze: jako mobilna kadra zatrudnialna w rozmaitych projektach – zapewne głównie na stykach akademii i praktyki społecznej, z niewielkimi szansami na stałą (etatową) pracę naukową. Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z dość wyraźną kontynuacją strategii *społecznej konstrukcji robotnika*, z wytwarzanym instytucjonalnie *przymusem pracy najemnej* na niskich szczeblach hierarchii w „fabrykach wiedzy”.

Jednocześnie pojawia się tu wyraźna wizja „uniwersytetu wewnętrznego”, jakiejś elitarniej struktury funkcjonującej w środku pola dostępnego studentom i doktorantom, struktury zarazem decyzyjnej (przypominającej PRL-owskich „onych”), pożądanej i niedostępnej („oni nas nie przyjmą / nie dopuszczą”) – reprezentującej przy tym fantazję „prawdziwej nauki”, do której doktoranci miewają jedynie okazjonalny dostęp przy okazji zleceń na prace techniczne („transkrypcje”). Można to ująć w metaforze średniowiecznego miasta i jego podgrodzia. Otoczone murami gwarantującymi względne bezpieczeństwo mieszkańcom, trzymają na dystans tłumy ludzi okupujących podgrodzia. Są oni zarazem zbędni jak i niezbędni wewnętrznemu miastu: są rezerwuarem siły roboczej, dostawcami tańszej pracy i tańszych dóbr, wreszcie – jak zauważa Stefan Czarnowski – są siłą „w służbie przemocy”, mobilizowaną w trakcie zamieszek, pogromów czy rewolucji. Społeczny radykalizm młodzieży w krajach Europy, silnie powiązany z funkcjonowaniem instytucji edukacyjnych kształcących dla „zatrudnialności”, może wskazywać na trafność tej metafory.

Obecnie, bez względu na to, czy „podgrodzie” okaże się marginesem trwałym, czy drogą do wewnętrznego uniwersytetu, osoby „krążące wokół” niego stanowią jego zarazem zbędny i niezbędny element. Prezentujący swoje poglądy w relacjonowanej tu dyskusji doktoranci nauk społecznych zapewne nie odczuwają swej „marginalnej niezbędności” w funkcjonowaniu uniwersytetu tak wyraźnie, jak może to być udziałem doktorantów w laboratoriach nauk eksperymentalnych, które bez ich pracy po prostu przestałyby działać. Niemniej jednak ich sytuacja *jest* generalnie podobna: jest to sytuacja osób kształconych do pracy w „fabrykach wiedzy” – na stanowiskach niewiele mających wspólnego z mityczną aurą Nauki obecnej w fantazmacie uniwersytetu humboldtowskiego.